

Esej dygresyjny. Ja.

„Naszą rolą jest alchemiczna przemiana (...) cierpienia w trwałe szczęście”.
Robert Kroll „Wolni i zniewoleni. Refleksje o mistycznej sztuce upadków i wzlotów”.

Ja. Teresa Feist.

Terapeutka. Akuszerka emocji i lęków. Tak przynajmniej w metaforycznej odsłonie werbalnej myśli Ja.

Ja, które staje się w poradni lustrem choroby, zwierciadłem wstydu, labiryntem oczekiwań, zwątpień, upadków i wzlotów. Czy mam prawo do takich asocjacji i pytań, czy mam prawo...

Alkoholizm to choroba „abstrakcyjna” - umysłu i duszy. Choroba, której nie da się zmierzyć w probówce laboratorium.

Ja. Po drugiej stornie balustrady. Konsekwentna, spokojna i opanowana. Zamieniona w słuch. Oczekująca słów, a gdy w czterech ścianach pokoju rozgrywać zaczyna się etiuda dialogu, muszę wziąć za nią odpowiedzialność. Czasami wydaje mi się, że nie podołam, że zatracę się w świecie formuł diagnostycznych, że będę dryfować w stronę „entropicznych” rozwiązań, które wyprowadzą pacjenta na manowce.

Ja dryfuję wtedy w stronę lęku, lęku o pacjenta, lęku o słuszność decyzji i terapeutycznych rozstrzygnięć.

Przeznaczeniem każdego - zarówno terapeuty, jak i pacjenta - jest doświadczanie nie tylko rozkoszy życia, lecz również jego nieuchronnych ciemnych stron.

Ja. Terapeutyczna podróż. Wyobrażam sobie, że terapia jest podróżą. Odkrywaniem nowych lądów i światów. Metafizycznych Wysp Bezludnych czy Nowych Jorków - przeludnionych, hałaśliwych, zatłoczonych. W podróży doświadczam bogactwa horyzontów. Raz po raz widoków przesłoniętych drapaczami chmur, by za chwilę ujrzeć horyzont wolny i bezkresny, niczym niebo. Feeria doznań, klimatów i temperatur. Kolorów skóry, wyzwania i wyzwania. Moja Podróż nieustannie pulsuje, przechodzi transgresje.

Ja wciąż płynie i nie zanurza stóp w tej samej rzece. Uczy się i otwiera wciąż nową kartę w dzienniku terapeuty. Niczym Odys, szukam drogi do swej Itaki.

Wolę myśleć, że ja i moi pacjenci jesteśmy towarzyszami podróży termin ten znosi różnicę między „nimi” (dotkniętymi chorobą) a „nami” uzdrowicielami.

Ja. Superwizja. Przyglądanie się sobie. Wszak jestem paradygmatem zależności. „Tworem” subiektywnych oglądów samej siebie, tworem, zależnym od otaczającego mnie świata i rzeczywistości.

Na superwizjach patrzę w oczy obiektywizmu. Oczekuję możliwości przyjrzenia się Ja poprzez inną osobę. Dostrzegam nieuświadomione emocje i robię miejsce zmianom.

Superwizja, superbohater-superwizor i Ja. Wtedy odnajduję skupienie i motywację do pracy. Potem robię „głęboki oddech” i wracam do Siebie, Domu, Przyjaciół, Pacjentów. Silniejsza, bogatsza i spokojniejsza...

Superwizję uważam za proces, który pozwala wyjść poza swoje naturalne ograniczenia w rozumieniu i poznaniu własnego udziału w kształtowaniu relacji z drugim człowiekiem. Używając metafory, superwizja pozwala, aby ściany formy, w którą terapeuta wlewa rezultat poznania pacjenta, były elastyczne. Podmiotem poznania jest wtedy pacjent, a nie jego karykatura. Bez superwizji ściany formy pozostają sztywne, a jej kształt odzwierciedla osobę terapeuty, uniemożliwiając poznanie pacjenta.

Ja. „Proces szkolenia”. Pamiętam pierwsze rozmowy z pacjentami. Pierwsze relacje terapeutyczne. Drżenie rąk i głosu, napięcie towarzyszące każdemu zdaniu, wyrazowi, głosce, które wydobywały się poprzez ściśnięte gardło. Umysł zalany pytaniami niczym lawą: czy pacjent widział moją niepewność oraz niepokój, czy moje zdenerwowanie go spłoszyło, czy wróci...czy, czy, czy...

Dwa lata praktyki, zdobywania wiedzy i umiejętności przyniosły większe opanowanie, zdolność analitycznego myślenia. Staram się jak chirurg skalpelem rozdzielać poszczególne warstwy chorej tkanki, eliminować ją, docierać do jej jądra i leczyć. Walczyć z oporem nawrotów i lęków pacjentów. Stosować wiedzę skrupulatnie i z pietyzmem zdobywaną.

Znam pewien stary dowcip. Młody terapeuta pyta doświadczonego kolegę, w jaki sposób potrafi dzień w dzień siedzieć i wysłuchiwać swoich klientów, sprawiając przy tym wrażenie spokojnego i nieporuszonego. Ten odpowiada: „To proste. Nie słucham tego, co mówią”. W jaki sposób jesteście w stanie wysłuchiwać klientów i nie przeżywać wstrząsu z powodu tego, co mówią? Nie myślę tu o współczuciu czy empatii, lecz o prawdziwym głębokim wstrząsie; poruszamy przecież codziennie niesłychanie znaczące i ważne tematy.

Ja. Fascynacja człowiekiem.

Mikrokosmosy doznań i przeżyć. Konstelacje nastrojów i ról. Egoizm, nienawiść, niespełnienie, marzenia, miłość, pokora i bunt... Nieskończoność...Człowiek. Jest dla mnie tajemnicą, ale także wyzwaniem. Zmaganie z jego słabościami uwalnia poczucie sensu.

Mój Boże cóż za niesamowity zaszczyt praktykować ten zawód prowadzący czasem do przeżyć, które wstrząsają całym jestestwem i zmieniają czyjeś życie!

Ja. Poczucie spełnienia i użyteczności. Nadaje sens mojej pracy. Sprawia, że jestem szczęśliwa. Wzbogaca, daje poczucie wolności.

Tuszę i wierzę, że pomagam, że przyczyniam się do pozytywnych zmian w pacjentach, których spotykam na swej terapeutycznej drodze.

Cieszę nas te okazjonalne lecz regularne transformacje, gdy wiemy, że wypełniłyśmy swoją niewielką nawet lecz istotną rolę w zmniejszeniu niepotrzebnego cierpienia czym przyczyniliśmy się do zmiany w otaczającym nas świecie. Bywają również sytuacje, w których zastanawiamy się poważnie nad tym czy cokolwiek z tego co robimy ma sens.

Ja. W pogoni za światłem. W pogoni za lepszym światem. Jestem terapeutką. Staram się...*ujrzeć niewidzialne! (...)* *Widzieć nadzieję tam, gdzie istnieje tylko rozpacz, zwycięstwo w godzinie klęski oraz miłość, gdy wszystko ogarnia wszechobecna nienawiść...* Czy mam prawo do takich asocjacji i pytań, czy mam prawo...